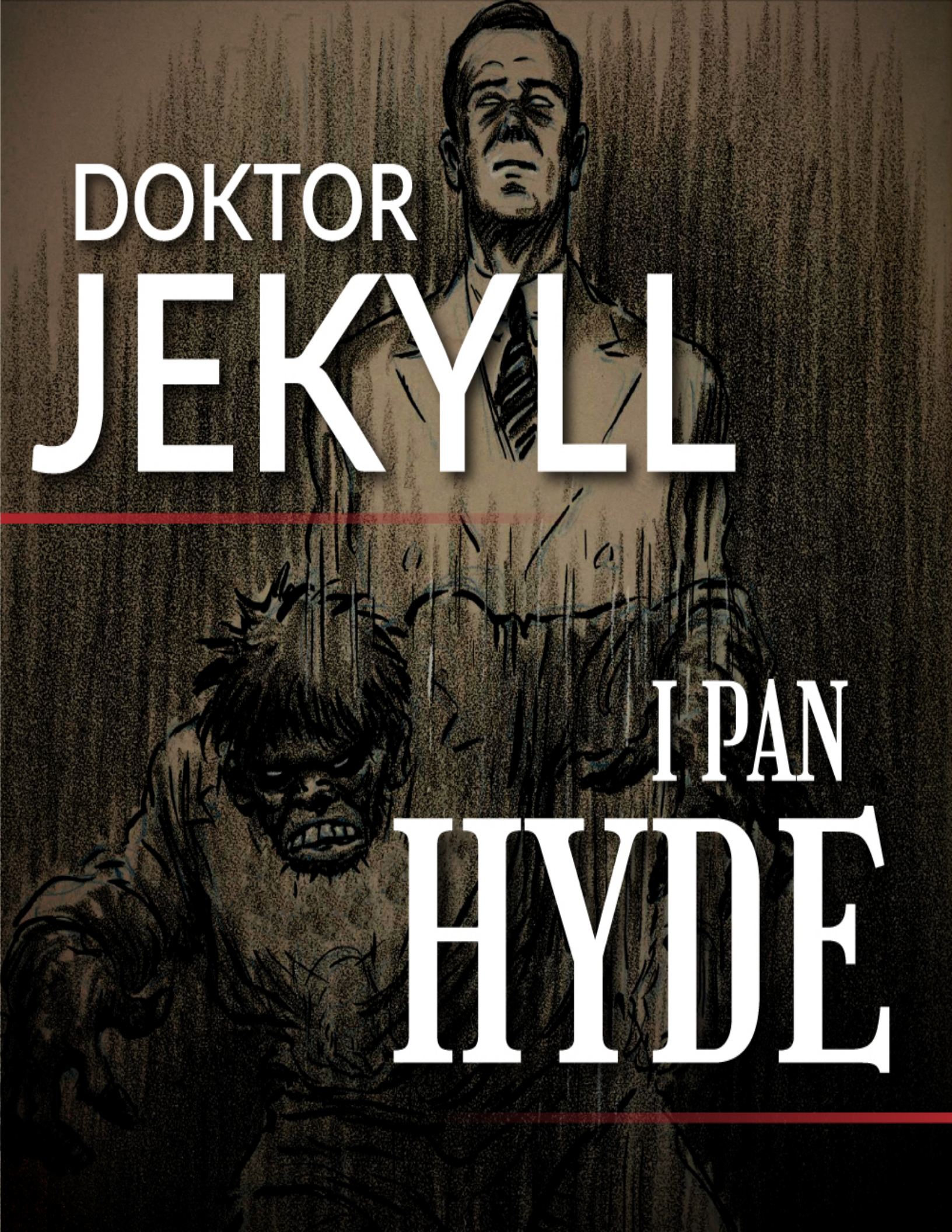




DOKTOR
JEKYLL

I PAN
HYDE

Doktor Jekyll i pan Hyde

Autor: Robert Louis Stevenson

Przełożył: Bertold Merwin

Uwspółcześnienie dawnego przekładu: Elżbieta Szuster

I

Adwokat Utterson był osobą o niezbyt uprzejmym wyrazie twarzy. Nigdy nie gościł na niej uśmiech. Odnosiło się wrażenie, że jest człowiekiem zimnym, małomównym, skrytym i niechętnym do podejmowania rozmów z nieznajomymi. Nic nie było w stanie go sprowokować do uzewnętrznienia swoich uczuć. Był chudy, wysoki, oschły i mrukliwy — a jednak z jakiegoś powodu wzbudzał sympatię. Ludzie go lubili. W towarzystwie przyjaciół, przy winie, z jego oczu dało się wyczytać łagodne i pełne miłości podejście do ludzi, czyli coś, czego nigdy nie można było usłyszeć w jego słowach, a co dawało się zauważyć w jego czynach. Był niezwykle surowy wobec samego siebie. Gdy przebywał w samotności, pił gin, żeby sobie zepsuć smak wina. Chociaż zaliczał się do grona miłośników teatru, to od dwudziestu lat nie pojawił się na żadnym przedstawieniu. Powszechnie znana była tolerancja i szacunek, z jakimi odnosił się do innych ludzi. Dziwił się — a czasem i zazdrościł — namiętności, jaka często uwidaczniała się w postępach ludzkich. Gdy ktoś znalazł się w biedzie, był gotów raczej pomagać niż ganić. — „Grzech Kaina jest również i moim grzechem” — mawiał w takich sytuacjach. — „Niech moi bracia grzeszą, każdy na swój sposób”. — Stawał się też często ostatnim przyzwoitym znajomym i ostatnim opiekunem ludzi, którzy stoczyli się na dno nędzy i weszli na drogę występku. Wobec takich osób nigdy nie zmieniał swojego sposobu postępowania, póki do niego przychodzili.

W gruncie rzeczy nie było to dla niego rzeczą trudną. Utterson bowiem nie miał kompletnie daru strofowania ludzi. Jego relacje z innymi opierały się właśnie na tej jego absolutnej dobroduszości. Jest rzeczą charakterystyczną dla jednostek skromnych, że przyjaciele swych zdobywają przypadkowo i tak też było u naszego adwokata. Przyjaciele jego byli albo bliskimi krewnymi, albo też ludźmi, których znał od dawnych czasów. Jego życzliwość była jak powój; rosła z biegiem czasu i nie przejmowała się cechami tej osoby, którą oplatała.

W ten sposób wytłumaczyć można więzy przyjaźni łączące Uttersona z Richardem Enfieldem, człowiekiem znanym w całym mieście. Wiele osób zastanawiało się, co też obu tych ludzi może łączyć. Każdy, kto ich spotykał

podczas niedzielnych przechadzek, zauważał, że nie mówią do siebie ani słowa, z czego można było przypuszczać, że zapewne nudzą się i pojawienie się znajomego traktują z widoczną ulgą. Mimo tych pozorów, dla obu panów te wycieczki stanowiły wielką przyjemność, uważali je za najrozkosznieszy epizod w trakcie całego tygodnia. Wyrzekali się innych rozrywek, odkładali na bok wszelkie sprawy zawodowe, aby tylko bez przeszkód rozkoszować się swymi spacerami.

Podczas jednej z takich przechadzek zdarzyło się, że szli boczną uliczką w którejś z dzielnic Londynu. Była to wąska i zazwyczaj spokojna przecznica; lecz w zwykły dzień, a nie, jak dzisiaj, w niedzielny, kiedy stawała się terenem ożywionego handlu detalicznego. Dało się zauważyć, że jej mieszkańcami byli zamożni ludzie, którzy dążyli do tego, aby stać się jeszcze bogatsi. Wystawy sklepów były pełne przepychu i przyciągały wzrok przechodniów. Nawet w niedzielę, kiedy to ruch uliczny zamierał, błyskały w tej brudnej uliczce witryny sklepowe jak płomień w lesie. Pstrokato wymalowane szyldy, polerowane okna, mosiężne ramy skupiały na sobie uwagę spacerowiczów.

W pewnym punkcie tej uliczki rząd kamienic był przerwany. Znajdowała się tutaj brama wjazdowa na podwórze, w którym tkwił ponury blok, niepodobny zupełnie do sąsiednich domów. Wysoki na dwa piętra, na parterze miał tylko jedne drzwi; nie widać było ani jednego okna. Nad bramą wjazdową wznosił się ślepy mur o wyblakłej barwie. Domostwo to na każdym kroku wykazywało ślady zupełnego zaniedbania. Drzwi nie były zaopatrzone w dzwonek; drewno było porysowane i popękane. Ulicznicy siadali zwykle na progu i pocierali zapałki o chropawe, zwietrzałe deski bramy; uczniacy scyzorykami wycinali tu różne figury; od niepamiętnych czasów nikt się nie zjawiał, żeby tych chuliganów przepędzić.

Enfield i adwokat szli drugą stroną uliczki, a gdy znaleźli się naprzeciwko bramy tego osobliwego domostwa, Enfield podniósł laskę i wskazał na opuszczony budynek.

— Czy zauważył pan te drzwi? — zapytał, a gdy towarzysz jego skinął przytakująco głową, rzekł. — Drzwi te przywołują w mojej pamięci bardzo dziwną historię...

— Co tu się stało? — zapytał Utterson, a głos jego nieco się zmienił.

— Zdarzyło się to właśnie w tej uliczce — zaczął opowieść Enfield. — Szedłem skądś do domu, późno w nocy, około trzeciej po północy, w zimie. Moja droga prowadziła przez dzielnicę, w której nie było dosłownie nic widać oprócz latarni. Ulica za ulicą, wszyscy ludzie śpią... ulica za ulicą, wszystkie tak oświetlone jak podczas procesji i wszystkie puste... Zacząłem tęsknić za widokiem policjanta... i nagle ujrzałem dwie postaci: jedną był mały człowieczek, który podążał gdzieś szybkim krokiem, a drugą — dziewczynka ośmio- czy dziesięcioletnia, wybiegająca właśnie z jednej z przecznic. Na zakręcie obie te postaci wpadły na siebie — i wtedy stała się rzecz ohydna. Człowieczek ten spokojnie szedł dalej, nie martwiąc się w ogóle o dziewczynkę, która leżała na ziemi i wołała, żeby jej pomóc. Puściłem się w pogoń za tym nieludzkim osobnikiem. Chwyciłem go za kołnierz i sprowadziłem na miejsce wypadku, gdzie wokół krzyczącego dziecka zgromadziła się już grupa przechodniów. Ujęty drab zachowywał się zupełnie spokojnie. W ogóle się nie bronił. Rzucił na mnie tylko tak złowrogie spojrzenie, że cały zadrżałem. Okazało się, że garstka ludzi, która się zbiegła, to byli krewni owej poszkodowanej dziewczynki. Wkrótce pojawił się też wezwany na miejsce lekarz. Ostatecznie dziecku nic poważnego się nie stało: tylko się wystraszyło. Cała afera mogłaby się na tym skończyć, gdyby nie zdarzył się dziwny incydent. Drab od pierwszej chwili budził we mnie wstręt. To samo odczuwali krewni dziewczynki, co było rzeczą zupełnie zrozumiałą. Zdumiewające było jednak, że tego samego doświadczał lekarz. Za każdym razem, gdy spoglądał na mojego jeńca, bladł; miałem wrażenie, że najchętniej by go zabił. Ponieważ jednak nie mogliśmy tego zrobić, staraliśmy się ulżyć sobie i wyładować negatywne emocje, po prostu besztając go. Powiedzieliśmy temu zbirowi, że sprawa pachnie skandalem, że nazwisko jego będzie zniesławione w całym Londynie, wreszcie: że jest bydlęciem w ludzkiej postaci. Kiedy tak mu wymyślaliśmy, musieliśmy równocześnie siłą powstrzymywać zebrane dookoła kobiety, żeby się na niego nie rzuciły. Nigdy nie widziałem takiej wściekłości, jaka się malowała na ich twarzach. W centrum tych wydarzeń stał ten dziwny człowiek. Miał ponury wyraz twarzy, chwilami nawet nieco ironiczny. Widziałem jednak, że się panicznie boi. „Jeżeli państwo macie zamiar żądać odszkodowania za ten wypadek — powiedział — to rozumiem. Szlachectwo zobowiązuje do szlachetnego postępowania —

dodał — po prostu chcę uniknąć dalszych nieprzyjemnych scen. Proszę wymienić sumę”. Powiedzieliśmy, aby wypłacił 100 funtów rodzinie dziewczynki. Z naszych twarzy mógł wyczytać, że mówimy serio, że nie damy się zbyć byle czym — więc ostatecznie się zgodził. Teraz chodziło o to, żeby dostać od niego te pieniądze. Jak pan myśli, dokąd nas zaprowadził? Otóż właśnie do tych tam drzwi... Wyjął klucz z kieszeni, wszedł i po chwili pojawił się z dziewięciu funtami w złocie i z czekiem na dom bankowy Coutts, płaćny na okaziciela i podpisany nazwiskiem, którego nie chciałbym wymienić... Nazwisko to jest bardzo znane i często spotyka się je w druku... Zwróciłem uwagę temu jegomościowi, że wydaje mi się to bardzo podejrzane: w normalnych warunkach nie zdarza się przecież, by o czwartej nad ranem ktoś wszedł do pustego domu i po chwili wyszedł z czekiem na sto funtów podpisanym przez inną, i to powszechnie znaną osobistość... Lecz on na moje słowa zareagował zupełnie bez emocji i rzekł kpiącym tonem: „Niech się pan uspokoi, chętnie zostanę z panem, aż otworzą bank i wtedy sam zrealizuję czek”. Zgodziliśmy się na jego propozycję. Lekarz, ojciec dziewczynki, ten dziwny osobnik i ja spędziliśmy resztę nocy w moim mieszkaniu, a po śniadaniu poszliśmy razem do banku. Osobiście wręczyłem czek, oświadczając, że podejrzewam, iż jest fałszywy. Jednak okazało się, że myliłem się, a czek był autentyczny...

— Co? Prawdziwy? — przerwał Utterson.

— Tak jest — mówił dalej Enfield — zaskakująca historia! Człeczek ten sprawiał wrażenie wyrzutka społecznego, a osobistość, która czek wystawiła, była najprzypoitsza, jaką sobie tylko można wyobrazić, powszechnie znana i szanowana... Przypuszczam, że wchodzi tu w grę jakieś wymuszenie, jakiś szantaż. Może to uczciwy obywatel, który teraz płaci za jakąś młodzieńczą przygodę... A jednak i to nie wyjaśnia mi wszystkiego... — zakończył Enfield i wpadł w zamyślenie.

Utterson przerwał je po pewnym czasie pytaniem:

— A czy ten, który czek wystawił, mieszka w tym domu bez okien?

— Nie — zaprzeczył Enfield — przypadkowo dowiedziałem się o jego adresie, mieszka tu w okolicy, w domu znajdującym się przy jednym z

wielkich placów.

— A nie pytał się pan później o ten ponury dom bez okien?

— Nie, nie mam w zwyczaju tak postępować — odparł Enfield — nie lubię się wypytywać i kogoś śledzić. Stawia się pytanie i odnosi się wrażenie, jakby się rzuciło kamień; siedzi się spokojnie na pagórku, kamień stacza się, porywa inne za sobą i taka lawina trafia wreszcie jakiegoś niewinnego człowieka, o którym wcale nie myślano i któremu mąci się spokój ... Nie, ja mam taką zasadę, że wcale nie zbliżam się do zawiłych afer...

— Bardzo dobra reguła, doprawdy — rzekł adwokat.

— Jednak sprawdziłem miejsce, ot tak, dla zaspokojenia własnej ciekawości — mówił dalej Enfield — mam wrażenie, że to nie jest zwyczajny dom. Są tylko jedne drzwi wejściowe — i tylko czasami, i to bardzo rzadko, wchodzi i wychodzi nimi wspomniany człowieczek z nocnej przygody. Od strony podwórza są trzy okna na pierwszym piętrze; na parterze nie ma żadnego. Okna są stale zamknięte. Z komina unosi się przeważnie dym, zatem dom jest zamieszkały...

Obaj przyjaciele spacerowali czas jakiś w milczeniu, po czym Utterson odezwał się:

— Jedno chciałbym wiedzieć. A mianowicie jak brzmiało nazwisko człowieka, który przewrócił dziecko.

— Powiem panu — rzekł Enfield i dodał — dlaczego miałbym to ukrywać? Był to człowiek nazwiskiem Hyde.

— Hm... — odpowiedział Utterson, po czym zapytał — a jak on wygląda?

— Nie jest łatwo go opisać. W jego postaci jest coś niechlujnego, nieprzyjemnego. Nigdy nie spotkałem człowieka, który wydawałby mi się tak niesympatyczny, a nie zdaję sobie przy tym sprawy, dlaczego... Prawdopodobnie dlatego, że jego ciało jest pokraczne. Widać wyraźnie, że

nie jest to człowiek normalnie zbudowany, ale na czym ta anomalia polega, nie mogłem sobie uświadomić. Wygląda jakoś „inaczej”, a przecież nie mógłbym wymienić nic niezwykłego. Nie, nie potrafię go opisać. A jednak, proszę mi wierzyć, widzę go w tej chwili dokładnie...

Utterson szedł w milczeniu. Widać było, że jest pogrążony w głębokich rozmyślaniach.

— Ale pan jest pewien, że on miał klucz? — dopytywał jeszcze.

— Ależ, proszę pana... — przerwał Enfield bardzo zdziwiony.

— Tak — rzekł Utterson — wiem, że to się panu wydaje dziwne, że tak dopytuję. O nazwisko tej drugiej osoby tylko dlatego nie pytam, ponieważ już się go domyślam. Widzi pan, mój Richardzie, pańska historia trafiła pod właściwy adres. Proszę pana: jeśli pan jakiegoś szczegółu nie podał całkiem ściśle, niech pan, proszę, od razu sprostuje.

— Ależ — odparł Enfield z pewną cierpkością — byłem zupełnie ścisły, by użyć pańskiego wyrażenia. Drab miał klucz i wciąż go ma. Niedawno, mniej niż tydzień temu, widziałem, że otwierał...

Utterson głęboko westchnął, nie rzekł jednak ani słowa. Natomiast Enfield się jeszcze odezwał:

— To była znowu dla mnie dobra nauczka: nie gadać! Wstydzę się, że jestem takim gadułą. Proponuję, nie poruszajmy więcej tej sprawy, dobrze?

— Ma pan rację — odpowiedział adwokat. — Daję panu słowo, Richardzie, że nie będziemy do tego wracać.

II

Tego wieczoru Utterson wrócił w ponurym nastroju do swojego kawalerskiego mieszkania i bez apetytu zasiadł do stołu. Zwykle w niedzielę po kolacji zajmował miejsce blisko kominka, brał książkę do ręki i rozkoszował się lekturą, aż dzwon na pobliskim kościele wybijał godzinę dwunastą. O tej porze kładł się spokojny i zadowolony do łóżka.

Lecz tego wieczoru bezpośrednio po jedzeniu wziął świecę i poszedł do swojego biura. Tu otworzył kasę i wyjął ze skrytki kopertę, na której widniał napis: „Testament dr. Jekylla”. Usiadł przy biurku i zaczął studiować treść aktu. Był to własnoręcznie spisany testament. Utterson miał go przechowywać, ale nie znał jego treści, gdyż nie brał udziału w jego sporządzaniu.

Zawierał on dwa postanowienia.

Po pierwsze: na wypadek zgonu Henry’ego Jekylla, doktora medycyny, dr. jur. utr.^[1], członka królewskiego towarzystwa itd., cały jego majątek miał przejść w posiadanie „przyjaciela i dobrodzieja Edwarda Hyde’a”. Po drugie: na wypadek, gdyby dr Jekyll „znikł lub w niewyjaśniony sposób był nieobecny przez czas dłuższy niż trzy miesiące kalendarzowe”, wymieniony Edward Hyde miał zostać spadkobiercą Henry’ego Jekylla — i to bezzwłocznie, bez żadnych innych zobowiązań prócz wypłaty niewielkich kwot służbie.

Dokument ten bardzo się nie podobał Uttersonowi — zarówno jako adwokatowi, jak i jako człowiekowi. Lubił on wszystko, co było rozsądne i logiczne, natomiast rzeczy fantastyczne i niestosowne uważał za jedno i to samo. Dotychczas nieznajomość tego pana Hyde’a budziła jego niechęć; teraz dowiedział się o nim tyle, że...

— Myślałem — szepnął do siebie, wkładając z powrotem dokument do kasy — że to wariactwo, a teraz zaczynam się obawiać, że to coś hańbiącego...

Zgasił świecę, włożył płaszcz i ruszył w kierunku Cavendish Square, gdzie jego przyjaciel, doktor Lanyon, miał dom, w którym przyjmował swych licznych pacjentów. „Jeśli ktoś wie coś więcej na ten temat, to musi to być Lanyon” — pomyślał Utterson.

Służący znał go dobrze, dlatego nie kazał mu długo czekać. Od razu wprowadził go do jadalni, w której doktor Lanyon siedział samotnie przy butelce wina. Był to człowiek miły, zdrowy, o rumianych policzkach i bujnych puklach włosów, które przedwcześnie posiwiały. Gdy ujrzał Uttersona, podskoczył z krzesła i powitał go z życzliwością, ściskając jego obie ręce. Serdeczność ta, jak w ogóle całe jego zachowanie się, sprawiały wrażenie nieco teatralne, lecz pochodziły ze szczerości jego uczuć. Obaj byli bowiem starymi przyjaciółmi, kolegami z ławy szkolnej, obaj szanowali się nawzajem i — co nie zawsze się zdarza — zgadzali się ze sobą, za każdym razem, gdy przyszło im się spotkać.

Po krótkiej rozmowie na obojętne tematy Utterson poruszył sprawę, która w nieprzyjemny sposób zaprzętała jego umysł.

— Mam wrażenie, mój drogi Lanyonie — rzekł — że my dwaj jesteśmy najstarszymi z przyjaciół, jakich ma Henry Jekyll.

— Wolałbym, żeby ci przyjaciele byli mniej starzy — żartował doktor Lanyon. — Ale i ja odnoszę to samo wrażenie. Ale co dokładnie masz na myśli? Słyszę teraz niewiele na temat Jekylla.

— Tak? — rzekł Utterson. — Sądziłem, że łączy was jakiś wspólny interes.

— To było kiedyś w przeszłości — zabrzmiała odpowiedź. — Lecz już od przeszło dziesięciu lat Henry Jekyll stał się dla mnie zbyt ekscentryczny. Jego idee coraz bardziej uległy wypaczeniu. Oczywiście, wciąż jeszcze interesuję się nim, by się tak wyrazić: ze starej miłości, ale od dawna go nie widziałem. Takie nienaukowe gładzenia, jak to, co mówi Jekyll, oddaliłyby od siebie nawet największych przyjaciół...

Twarz doktora nagle pokryła się silnym rumieńcem. Z pewną ulgą Utterson pomyślał: „A więc podzieliły ich tylko jakieś odmienne poglądy

naukowe...”.

Nie mówił chwilę, poczekał, aż się doktor uspokoi, i zapytał wreszcie:

— Czy znasz człowieka, którym Jekyll się opiekuje, niejakiego Hyde’a?

— Hyde? — powtórzył Lanyon. — Nie, nigdy o kimś takim nie słyszałem...

To była jedyna informacja, jaką adwokat otrzymał.

Utterson spędził noc bezsennie. Jego umysł pracował niezwykle intensywnie. Leżał w wielkim łóżku, w ciemności, osaczony wieloma pytaniami i rodzącymi się pod wpływem emocji różnymi wizjami.

Wybiła godzina szósta na zegarze kościoła znajdującego się w pobliżu jego mieszkania, a Utterson wciąż jeszcze rozpatrywał ten sam problem. Dotychczas zajmował on tylko jego mózg, obecnie owładnął też jego wyobraźnię. Gdy tak leżał i rzucał się na łóżku w ciemności nocy, relacja Enfielda przewijała się przed jego oczyma niczym pasmo obrazów. Widział oświetlone miasto, potem postać człowieka pośpiesznie idącego przed siebie, potem dziecko biegnące od lekarza do domu, potem jakąś poczwarę rzucającą się na tego malucha i pędzącą naprzód bez zwrócenia uwagi na krzyk dziecięcy... To znów oglądał pokój w bogatym domu, w którym leżał przyjaciel i w trakcie snu uśmiechał się, a później otwierały się drzwi tego pokoju, ktoś wstrząsał śpiącym — i oto obok niego stała jakaś postać... Biedny Utterson czasem na moment zasypiał, lecz niebawem się budził i wydawało mu się, że coraz szybciej wiruje dookoła jasno oświetlonych domów, że na każdym skrawku ulicy pada z wrzaskiem przewracane dziecko, a jakaś postać pędzi, goni, ucieka... I za każdym razem ta istota nie ma twarzy, po której by ją można było poznać. Również i w swych licznych wcieleniach postać pozbawiona jest twarzy, a właściwie ma tylko jedną zamgloną, rozplywającą się... W duszy adwokata rosła nieposkromiona żądza zobaczenia oblicza prawdziwego pana Hyde’a... „Gdybym — myślał — raz tylko mógł mu spojrzeć w twarz, cała tajemnica z pewnością wyjaśniłaby się tak, jak to zawsze dzieje się z zagadkowymi rzeczami, jeśli się je dokładnie obejrzy pod lupą...”. Wtedy znalazłby zapewne także wytłumaczenie dziwnego testamentu swego przyjaciela Jekylla. Chciał

zobaczyć tę enigmatyczną twarz. Twarz człowieka pozbawionego litości. Twarz, na której widok w duszy tak spokojnego i opanowanego człowieka jak Enfield zrodziło się trwałe uczucie nienawiści...

Od tego czasu Utterson zaczął bacznie obserwować drzwi w małej uliczce, wrota prowadzące do tajemniczego, pozbawionego okien domu.

Rano przed biurem, w południe podczas przerwy obiadowej, wieczorem przy świetle księżyca, w każdej wolnej chwili, w samotności i w największym zgiełku ulicznym można było zastać adwokata na posterunku, na przeszpiegach...

Wreszcie jego cierpliwość została nagrodzona. Było to pewnej pięknej, suchej nocy. Powietrze było mroźne, ulice puste, pokryte gołoledzią, latarnie rzucały mgliste światło na mrokami zasnutę miasto. Około godziny dziesiątej, gdy wszystkie sklepy były zamknięte, a ulice wyludnione, zapanowała wokół taka cisza, iż krok przechodnia dudnił po bruku i z dala można go było usłyszeć. Utterson stał już jakiś czas na swoim posterunku, kiedy jego uwagę zwróciły jakieś dziwne kroki. Właściwie niczym nie różniły się od sposobu chodzenia zwykłych przechodniów, samotnie skądś idących nocą ulicami — ale jakieś przeczucie, jakiś instynkt podszeptował mu, że oto zbliża się ktoś, kto odgrywa w trapiącej go aferze doniosłą rolę. Wycofał się wtedy do wnętrza i obserwował w wielkim napięciu.

Wkrótce adwokat dostrzegł zbliżającego się człowieka. Był bardzo skromnie ubrany, niski. Już z odległości budził jakieś nieprzyjemne wrażenie. W całej jego postaci tkwiło coś niesamowitego. Osobnik ten szedł środkiem ulicy, jakby sobie chciał zaoszczędzić drogi; kroczył wprost w stronę domu bez okien, a doszedłszy do niego, wyjął z kieszeni klucz.

Utterson zbliżył się i, dotknąwszy ręką ramienia przechodzącego człowieka, zapytał:

— Pan Hyde, jeśli się nie mylę?

Pan Hyde zatrząsł się ze strachu, po czym głęboko odetchnął. Z jego piersi wydobył się syczący dźwięk. Lecz jego strach trwał tylko chwilę. Nie spojrzał wprawdzie w oczy adwokata, ale odparł zupełnie spokojnie:

— Tak, to moje nazwisko. Czego pan sobie życzy?

— Wydaje mi się, że pan chce wejść do tego domu — powiedział adwokat. — Jestem starym przyjacielem doktora Jekylla. Nazywam się Utterson i mam kancelarię adwokacką przy Gaunt Street. Przypuszczam, że zna pan moje nazwisko. A że tak się złożyło, że spotykam tutaj pana, to proszę, aby mnie pan wpuścił do tego domu...

— Nie spotka pan tu doktora Jekylla — odpowiedział Hyde i wsunął klucz w zamek; potem nagle zapytał. — A skąd mnie pan zna?

Utterson nie odpowiedział na to pytanie. Zapytał natomiast po chwili:

— Czy nie chciałby mi pan wyświadczyć pewnej przysługi?

— Z przyjemnością — odrzekł Hyde — o co chodzi?

— Chciałbym zobaczyć pańską twarz...

Hyde przez moment zwlekał, potem jednak podjął decyzję i wyprostował się, a twarz jego przybrała hardy wyraz i spojrzał wprost w oczy adwokata.

— Tak, teraz już pana poznam — stwierdził Utterson. — Przyda mi się to może kiedyś.

— Dobrze się składa — rzekł Hyde — że się spotkaliśmy; à propos, mogę panu dać również mój adres.

I wymienił numer domu w pewnej ulicy w dzielnicy Soho.

— Teraz — zapytał — proszę mi powiedzieć: skąd mnie pan zna?

— Ktoś mi pana opisał — odpowiedział Utterson.

— Kto?

— Mamy wspólnych przyjaciół.

— Wspólnych przyjaciół? — Hyde wyraził wątpliwość, mówiąc ochryłym głosem. — O kim pan mówi?

— Na przykład, Jekyll...

— On panu nigdy o mnie nie opowiadał! — zawołał gniewnie Hyde. — Nie przypuszczałem, że pan będzie mnie okłamywał!

— Uważaj pan — rzekł Utterson — niech się pan liczy ze słowami!

Hyde parsknął śmiechem. Z niezwykłą zręcznością otworzył błyskawicznie drzwi i zniknął we wnętrzu domu.

Adwokat stał przez chwilę, po czym odszedł powoli, przystając co kilka kroków i pocierając ręką czoło. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Problem, który rozważał podczas spaceru, należał do tych, które rzadko można rozwiązać. Hyde był blady i skarłowaciały, a na jego twarzy widniał nieprzyjemny uśmiech. Miał wobec adwokata minę wyrażającą naprzemiennie lęk i bezczelność. Mówił głosem ochryłym. Wszystko to przemawiało przeciw niemu, ale nie usprawiedliwiało odrazy i pogardy, którą Utterson odczuwał wobec tej kreatury. „Musi być coś jeszcze innego — myślał, idąc miarowym krokiem — gdybym tylko wiedział co... Do licha, ten człowiek nie ma w sobie nic ludzkiego! Jakby pół zwierz, osobnik z epoki jaskiniowej... A może to tak promieniuje marność jego duszy i zniekształca powłokę cielesną? Chyba tak. Oj, biedny Henry Jekyll!”

Utterson skręcił w następną ulicę, minął ją i dotarł na plac otoczony starymi budynkami, które przeważnie przedstawiały obraz zaniedbania. W domach tych mieszkali przeróżni lokatorzy: litografowie, budownicz, pokątni adwokaci i agenci obskurnych przedsiębiorstw. Tylko jeden dom, drugi z brzegu, pozostał w ręku posiadacza i nie miał najemców. Już z zewnątrz widać było, że jego właściciel jest zamożnym i wytwornym człowiekiem. Przed drzwiami tej posiadłości Utterson zatrzymał się i zapukał. Starszy wiekiem służący, w nienagannym służbowym uniformie, otworzył bramę.

— Czy pan doktor Jekyll jest w domu, Poole? — zapytał adwokat.

— Zobaczę, panie Utterson — odpowiedział Poole i zaprowadził gościa do przestronnej poczekalni, w której, jak w willi wiejskiej, płonął ogień na jasnym, otwartym kominku. Drogocenne szafy dębowe znajdowały się w holu, którego podłoga była kamienna, a sufit ozdobnie rzeźbiony.

— Pan doktor raczy poczekać tu przy kominku. A może mam zapalić światło w jadalni?

— Nie, dziękuję. Zostanę tutaj.

Utterson zbliżył się do kominka i ogrzewał sobie ręce. Izba, w której obecnie przebywał, była ulubionym kątem jego przyjaciela, doktora Jekylla. Utterson mówił o niej zwykle jako o najprzyjemniejszym kącie w całym Londynie. Lecz w tej chwili Utterson był w ponurym nastroju. Twarz Hyde'a całą swą ohydą wbiła się w jego pamięć, odczuwał — co mu się rzadko zdarzało — wstręt do życia. Miał wrażenie, że z każdego zakamarka wyłaniają się groźne zmory; widział je w odbłaskach ognia na politurowanych szafach i w niespokojnym drganiu cieni padających na kamienną posadzkę. Wstydział się też ulgi, jaką odczuł, gdy niebawem wrócił Poole, który zameldował, że doktora Jekylla nie ma w domu.

— Widziałem pana Hyde'a wchodzącego do budynku, w którym kiedyś była trupiarnia — rzekł Utterson — czy to dopuszczalne, jeśli doktora Jekylla nie ma?

— Owszem, panie Utterson — odparł służący. — Pan Hyde ma klucz.

— Pański chlebodawca ma widocznie wiele zaufania do tego człowieka...

— Tak jest, to prawda. Mój pan ufa mu bezgranicznie. My wszyscy mamy rozkaz być mu posłuszni.

— Nigdy tu nie zastałem tego pana Hyde'a...

— To zrozumiałe, ponieważ on się tutaj nie stołuje — odpowiedział Poole. — A zresztą widzimy go bardzo rzadko z tej strony domu. On przychodzi i wychodzi przeważnie przez laboratorium.

— Ooo, to bardzo ciekawe. Dobranoc, Poole.

— Dobranoc, panie Utterson.

Adwokat wracał do domu z ciężkim sercem. „Biedny Henry Jekyll — myślał — przecucie podpowiada mi, że zaplątał się w jakąś fatalną aferę! Ma za sobą burzliwą młodość, ale to było tak dawno. A jednak u Pana Boga nie ma przedawnienia... Tak, to zapewne następstwa starego grzechu, trucizna jakiejś ukrywanej hańby — i teraz nadeszła kara, po wielu, wielu latach, kiedy zatarło się już w pamięci wspomnienie starego błędu...”.

Przerażony tymi myślami, adwokat zatopił się we wspomnieniach z własnej przeszłości. Wnikał we wszystkie zakamarki swoich przeżyć i badał skrupulatnie, czy nie ma tam przypadkiem jakiegoś mrocznego epizodu, jakiegoś ciemnego punktu... Lecz jego przeszłość była nienaganna. Niewielu ludzi mogłoby z takim spokojem odczytywać rejestr swojego życia, co on... Kiedy to sobie uświadomił, wcale nie przyniosło mu to ulgi. Z jeszcze większym niepokojem myślał o swoim przyjacielu, doktorze Jekyllu. „Ten Hyde — snuł rozmyślenia — jest bardzo podejrzanym indywiduum, osobnikiem o jakichś tajemniczych planach... Tak dłużej być nie powinno... Strach pomyśleć, że takie stworzenie może się zakraść do łóżka niewinnie śpiącego Henry’ego. Cóż to za niebezpieczeństwo! Jeśli ten Hyde wie o istnieniu testamentu, to mógłby nabrać ochoty, aby jak najprędzej zostać spadkobiercą. Muszę stanowczo temu przeciwdziałać, zdecydowanie muszę coś zrobić! O ile tylko Jekyll zechce...”.

I poczciwy adwokat Utterson ujrzał przed oczyma dziwne klauzule testamentu.

[1]

Dr. jur. utr. (łac. Iuris Utriusque Doctor) – doktor obojga praw – osoba posiadająca stopień naukowy doktora w zakresie prawa kościelnego (kanonicznego) i świeckiego (cywilnego).

III

Czternaście dni potem doktor Jekyll zaprosił swoich znajomych na jedno z przemiłych przyjęć, które od czasu do czasu urządzał w swoim domu. Zaproszonych zostało sześciu starych druhów. Były to poważne i wpływowe osobistości, które potrafiły docenić kielich dobrego wina serwowanego przez gospodarza.

Uttersonowi udało się tak pokierować biegiem zdarzeń, że został w mieszkaniu przyjaciela, gdy inni już się pożegnali. Nie było w tym nic osobliwego, takie sytuacje zdarzały się wcześniej często i to nie tylko w domu Jekylla. Poważnego adwokata chętnie zatrzymywano, gdy rozochoceni i rozmowniejsi goście opuścili już przyjęcie. Po biesiadzie chętnie odpoczywa się przez jakiś czas i uspokaja umysł wymownym milczeniem po wesołej i zazwyczaj głośnej popijawie.

Siedzieli więc obaj przyjaciele przy kominku i widać było, że doktor Jekyll, rosły, przystojny, pięćdziesięcioletni mężczyzna, którego rysy twarzy wyrażały wiele mądrości i dobroci — szczerze i głęboko jest przywiązany do swojego przyjaciela Uttersona.

— Chciałem już dawno z tobą porozmawiać, Henry — rozpoczął Utterson. — Wiesz, w sprawie testamentu...

Dociekliwy obserwator mógłby od razu zauważyć, że ten temat był niewygodny dla doktora Jekylla, który jednak na wypowiedź dobrego kolegi zareagował w sposób żartobliwy.

— Biedny Uttersonie — rzekł — wiem, że masz kłopoty z takim klientem jak ja. Jeszcze więcej może miał zmartwień ze mną ten mój były przyjaciel Lanyon, ten zatwardziały pedant, oburzający się na moje śmiałe poglądy, które on nazywał kacerstwem, czyli w jego mniemaniu sekciarstwem. O, wiem dobrze, że to szlachetny człowiek. Nie patrz na mnie tak gniewnym wzrokiem. To bardzo zacny człowiek. Chętnie bym się z nim częściej widywał, chociaż uważam go za zatwardziałego pedanta, ograniczonego, zawziętego pedanta. Żaden człowiek mnie tak nie rozczarował jak ten Lanyon...

— Wiesz przecież, że ja się nigdy nie zgadzałem... — przerwał Utterson, lekceważąc nowy temat poruszony przez przyjaciela.

— Z moim testamentem? Tak, tak, wiem o tym — rzekł doktor nieco ostrzej — mówiłeś mi o tym wcześniej. Pamiętam.

— Właśnie. I dzisiaj chcę ci to samo powtórzyć — kontynuował adwokat. — Słyszałem coś nieco o tym Hydzie...

Szeroka, piękna twarz doktora Jekylla zbladła. Oczy jego zasnuła ciemna mgła.

— Nie chcę nic więcej o tym słyszeć — rzekł stanowczo. — Nie będziemy rozmawiać na ten temat.

— To, czego się dowiedziałem, brzmi wprost fatalnie...

— Nie zmienia to postaci rzeczy. Nie rozumiesz w ogóle mojej sytuacji — odparł doktor — jestem w nieznośnym położeniu, Uttersonie. Jest ono bardzo, bardzo dziwne... Jest to jedna z tych historii, które wcale nie stają się lepsze, gdy się o nich opowiada...

— Henry — rzekł Utterson — znasz mnie: możesz się przede mną otworzyć. Zrzuć z serca szczerze cały ten ciężar. Jestem pewny, że mógłbym ci pomóc.

— Mój drogi Uttersonie, to bardzo pięknie z twojej strony, wprost wzruszająco. Brak mi słów, aby ci podziękować. Mam do ciebie pełne zaufanie, wierzę ci bardziej niż komukolwiek innemu, ba, więcej niż sobie samemu. Ale doprawdy jest w tej sprawie coś zupełnie innego, niż przypuszczasz. Zatrzegam od razu, że nie ma w tym nic zdrożnego, nieprzyzwoitego i abyś był zupełnie spokojny, mogę ci powiedzieć, że w każdej chwili mogę pozbyć się pana Hyde'a. Daję ci na to słowo. Dziękuję raz jeszcze za twoje zainteresowanie, ale powiem ci, Uttersonie, dwa słowa, których nie bierz mi za złe: to jest moja sprawa prywatna. Bądź łaskaw nie wtrącać się do niej...

Utterson spoglądał przez chwilę w zamyśleniu w ogień płonący w kominku.

— Bezsprzecznie... masz zupełną rację — rzekł wreszcie i wstał.

— Ponieważ jednak poruszyliśmy tę sprawę i to przypuszczalnie po raz ostatni — rzekł Jekyll — chciałbym ci coś jeszcze wyjaśnić. Interesuję się, rzeczywiście, bardzo owym biednym panem Hyde'm. Wiem, że go poznałeś, mówił mi o tym. Obawiam się, że był wówczas nieuprzejmy. Ale weź pod uwagę: ten młody człowiek budzi moje ogromne zainteresowanie i przejmuję się jego losem. Gdyby mnie już nie było na tym świecie, obiecaj mi, proszę, Uttersonie, że okażesz się wobec niego cierpliwy i dopomożesz mu w sprawach spadkowych. Jestem przekonany, że zrobiłbyś to, gdybyś mógł wszystko na ten temat wiedzieć... Przyniesie mi wielką ulgę, jeśli mi to obiecasz...

— Nie mogę ci obiecać, że zdołam go polubić — powiedział adwokat.

— Tego od ciebie nie wymagam — zaprotestował Jekyll i położył rękę na jego ramieniu — proszę tylko o uczciwe potraktowanie tego człowieka. Proszę, byś mu pomógł, gdy mnie już nie będzie...

Utterson nie mógł powstrzymać westchnienia.

— Dobrze — rzekł — obiecuję.